Horace B. Fyfe

Gadatliwe drzewo

(The Talkative Tree)

`

Worlds of If, January 1962
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Wszystko miało znaczenie – jakaś niezbyt istotna gwiazda, nieokreślone uszkodzenie napędu międzygwiezdnego, sposób w jaki ciemna atmosfera małej planety zwiodła precyzyjne skanery – pilotowi udało się i tak całkiem nieźle wylądować. Pomimo niezbyt ciepłych uczuć dla służby kosmicznej Haurtoz, steward Peter Kolm musiał przyznać, że mogło się to skończyć znacznie gorzej.

Główny steward Slichow wyprowadził swą drużynę, niecałe dwie trzecie zespołu obsługi racji żywnościowych, który powinien siedzieć w dolnej ładowni, na miejsce położone dwieście metrów od parującego kadłuba *Peace State*. Ustawił ich w szereg, jakby na paradzie. Kolin starał się wyglądać najbardziej niepozornie jak potrafił.

— Ponieważ załoga pełni wachty alarmowe, naprawiając zniszczenia — oznajmił Slichow ostrym, agresywnym tonem, — zgłosiłem swoją sekcję do przeprowadzenia wstępnego zwiadu, zgodnie z potrzebami. Przydałoby się znaleźć tymczasowe źródła naturalnego pożywienia na tym terenie.

„Zgłosił SWOJĄ sekcję!" — pomyślał buntowniczo Kolin. — „Co on sobie myśli, że jest Najwyższym Dyrektorem Haurtoz? Nie dość, że wcielili mnie do tej idiotycznej floty kosmicznej, która nigdy nie walczyła, to jeszcze trafiam na takiego pobrzękującego orderami kretyna, jak Slichow!"

Ostrożnie, nie wyraził swego oburzenia w otwarty sposób.

Jego dobrze wytrenowane rysy twarzy, nie zdradzały nawet śladu tego rodzaju myśli – ani żadnych innych. Planetarne Państwo Haurtoz położone było jakieś piętnaście lat świetlnych od starej Ziemi, ale stosowano w nim wiele niezbyt miłych technik pochodzących z ojczystej planety. Brak całkowitej lojalności wobec państwa, na ogół skutkował okresem traktowania, który czynił obywatela właściwie „zre-personalizowanym". Kolin słyszał o przypadkach, w których zwykła mało entuzjastyczna postawa, kończyła się oskarżeniem o intencje snucia zdradzieckich myśli.

— Zwiad prowadzony będzie w pięciu oddziałach, po trzy osoby w każdym — mówił dalej Slichow. — Co godzinę każdy oddział ma przysyłać jedną osobę z raportem, która zostanie zastąpiona przez którąś z pięciu pozostałych tutaj, do wydawania racji.

Kolin pozwolił sobie na chwilę zastanowienia, kiedy ktoś z nich będzie mógł trochę odpocząć, ale zachował przez cały czas lekko ochoczy wygląd. (Zbytnia gorliwość mogłaby wzbudzić podejrzenia maskowania niewłaściwego światopoglądu.) Zachowanie właściwego światopoglądu było konieczne, jeśli Planetarne Państwo miało oprzeć się wrogim spiskom Ziemi i jej dekadenckich kolonii. Taka, przynajmniej, była oficjalna linia.

Kolin znalazł się w grupie z Jakiem Ammetem, trzecim kucharzem i Evą Yrtok, magazynierką sproszkowanej żywności. Ponieważ załoga w trakcie napraw miała jeść zapakowane racje alarmowe, Yrtok była wolna i mogła objąć dowodzenie oddziałem zwiadowczym.

Każdy ze zwiadowców był wyposażony w pistolet rakietowy i plastikową tubę z wodą. Główny steward Slichow podkreślił z naciskiem, że obsługujący racje nie powinni w alarmowych sytuacjach stwarzać nawet pozorów faworyzowania siebie w dostępie do racji. Dlatego mieli pójść bez nich. Kolin zachował standardowy wyraz twarzy, gdy główny steward mierzył ich ostrym wzrokiem.

Yrtok, ciemnowłosa dziewczyna o szczupłej twarzy, ruszyła na czele, wydając polecenia cichymi monosylabami. Niosła małe radio, z którego wolno było jej skorzystać tylko do najbardziej pilnych wiadomości. Za nią szedł Ammet, a Kolin jako ostatni.

Aby dotrzeć do wyznaczonego sektora, przez pierwsze pół kilometra musieli wspiąć się na pasmo posępnych skałek. Po drodze, rosły na nich tylko sporadyczne pnącza, których wydłużone liście migotały brązowo-zielonymi refleksami na powierzchni skał. Jednak kiedy weszli na wierzchołek wzgórza, w dole zobaczyli przed sobą gęsty las.

Yrtok i Ammet zatrzymali się na chwilę przed zejściem.

Kolin dzielił z nimi uczucie izolacji. Mieli wkrótce znaleźć się poza zasięgiem wzroku władz i przejąć odpowiedzialność za swoje działania. To było dziwne wrażenie.

Żwawym tempem zeszli w dolinę, coraz bardziej odczuwając obecność chmur i oparów atmosferycznych. Daleko położone obiekty wydawały się zamazane przez wiszącą w powietrzu mgiełkę, przyjmując ciemne, zadumane odcienie szarości. O ile Kolin mógł stwierdzić, wraz z pozostałymi został odcięty w świecie między znajdującym się za nimi grzbietem skalnym i półkolem wilgotnych drzew i krzewów, oddalonym od nich o kilkaset metrów. Podejrzewał, że mgliście rysujące się z przodu wzgórza, były częścią ciągłego łańcucha, ale nie był tego pewien.

Yrtok poprowadziła ich, aby jak najszybciej zejść na poziom ziemi. Niskie pnącza stały się gęstsze, przeplatając się ze splątanymi kępami najeżonych kolcami krzewów. Od czasu do czasu, pomiędzy listowiem migały małe latające stworzenia. W pewnej chwili jeden z krzewów wydmuchnął z siebie ogromną chmurę niewielkich zarodników.

— Znalezienie tu czegoś jadalnego, będzie nie lada wyzwaniem — chrząknął Ammet. Kolin musiał się z nim zgodzić.

W końcu, po dłuższej wędrówce, niż wcześniej przewidywali, dotarli do krawędzi zwodniczo dalekiego lasu. Yrtok zatrzymała się, żeby sprawdzić jakieś purpurowe jagody, niebezpiecznie błyszczące na niskim krzaku. Kolin z lekką obawą przyglądał się drzewom.

— Wygląda, że równie trudno będzie się przez nie przedostać, jak przez tropikalną dżunglę.

— Wydaje mi się, że te drzewa wypuszczają odrosty, które w miarę jak robią się coraz większe, wrastają z powrotem w ziemię, do korzeni — powiedziała kobieta. — Może uda nam się znaleźć jakąś drogę przejścia.

Po dwóch, może trzech minutach dotarli do wyraźnie zaznaczonej granicy dziwnie wyglądających drzew.

Poza jednym olbrzymem o grubym pniu, wszystkie one były mniej więcej tej samej wysokości. Wyciągali szyje, usiłując ocenić rozmiary potwora, lecz jego wierzchołek skryty był za szerokimi rozłożystymi konarami. Gąszcze za nim wyglądało na ciemne i niemożliwe do spenetrowania.

— Lepiej chodźmy wzdłuż granicy drzew — zdecydowała Yrtok. — Ammet, czas już wracać i powiedzieć głównemu stewardowi, którędy… Ammet!

Kolin obejrzał się do tyłu. Pięćdziesiąt metrów za nimi, Ammet siedział koło krzaka z purpurowymi jagodami, kompletnie rozanielony.

— Musiał ich spróbować! — zawołał Kolin. — Zobaczę co z nim.

Podbiegł do kucharza, pochylił się nad nim i potrząsnął go za ramię. Głowa Ammeta zakołysała się luźno z boku na bok. Jego dosyć ciężkie rysy twarzy miały nieobecny wyraz, nadając mu wygląd człowieka zupełnie oszołomionego. Kolin wyprostował się i skinął na Yrtok.

Z jakiegoś powodu miał problemy z przyciągnięciem jej uwagi. Potem zauważył, że kobieta klęka.

— Mam nadzieję, że ona nie najadła też jakiegoś głupiego zielska! — zaczął gderać, podbiegając do niej.

Kiedy do niej dotarł, dostrzegł, że Yrtok coś badała. Stworzenie zerwało się i śmignęło w poszycie z błyskiem zielonkawego futra. Kolin zauważył tylko, że ma o kilka nóg za dużo.

Pociągnął Yrtok, stawiając ją na nogi. Zawisła na nim luźno, z oczyma tak samo nieobecnymi jak Ammet. Kiedy odsunął się od niej z nagłą zgrozą, opadła łagodnie na ziemię. Ułożyła się wygodnie na boku, kurcząc jedną z dłoni, jakby coś odsuwała.

Kiedy zaczęła się sennie uśmiechać, Kolin szybko się wycofał.

Kąciki ust dziwnie mu zesztywniały; mimowolnie cofnął wargi, obnażając zaciśnięte zęby. Rozejrzał się czujnie dokoła, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby mu zagrażać.

— Czas już kończyć ten zwiad — powiedział sobie. — To zbyt niebezpieczne. Jedno spojrzenie z góry i wynoszę się stąd! Trzeba tylko znaleźć jakieś drzewo, na które łatwo wejść.

Zastanowił się nad potężnym gigantem. Wystawał trzydzieści, czterdzieści metrów w rzadkiej mgle. Inne drzewa wydawały się przy nim karłami. To był chyba najbardziej obiecujący wybór.

Na początku Kolin nie widział sposobu na dostanie się na górę, ale sieć pnączy owijających się wokół chropawego pnia zasugerowała drogę. Ostrożnie spróbował uwiesić się na nich całym ciężarem, a potem zaczął się wspinać.

— Powinienem zabrać radio Yrtok — wymruczał pod nosem. — Och, dobrze, mogę je wziąć, kiedy zejdę na dół. Może do tego czasu otrząśnie się ze swej niemocy. Zabawne… Zastanawiam się, czy nie ugryzło jej to zielone stworzenie.

Posplatane liany dawały mnóstwo punktów oparcia dla nóg. Kolin szybko posuwał się do góry. Kiedy dotarł do pierwszych grubych konarów, na wysokości podwójnego wzrostu człowieka, poczuł się bezpieczniej.

Później, jak miał nadzieję w połowie drogi, przewiesił się jedną nogą przez gałąź i zrobił przerwę aby obetrzeć pot z oczu. Spojrzawszy w dół, odkrył, że ziemia zasłonięta jest przez listowie.

— Powinienem sprawdzić z ziemi, jak otwarty jest wierzchołek drzewa — zadumał się. — Ciekawe jaki widok będzie tam z góry.

— Zależy, czego szukasz, synu! — jakiś głos zauważył z szeleszczącą chrypką.

Kolin poślizgnął się i rozpaczliwie usiłował złapać za konar. Jego palce chwyciły tylko garść liści i cienkich gałązek, które ledwie dały radę go podtrzymać, zanim nie schwycił się lepiej drugą ręką.

Gałąź zadrżała pod nim z urazą.

— Hej, ostrożnie tam! — wyszeleścił niesamowity głos. — Całe lato zajęło mi, zanim ta gałąź wyrosła.

Kolin poczuł, że wzdłuż kręgosłupa zaczynają chodzić mu mrówki.

— Kim jesteś? — wydyszał.

W odpowiedzi usłyszał podszyte śmiechem westchnienie, które mimo wrażenia przyjaznego, wywołało u niego kolejny zimny dreszcz.

— Nazywam się Johnny Ashlew. Pytanie, od którego powinieneś zacząć, to *czym* jestem. Nie wydaje mi się, żebyś kiedyś już widział człowieka, który wyrósł na drzewo.

Kolin rozejrzał się, ale nie zobaczył niczego poza liśćmi i mgłą.

— Muszę schodzić — powiedział sobie rozsądnym tonem. — Wystarczająco już źle, że tych dwoje odpłynęło, a teraz jeszcze i ja zaczynam mieć zwidy.

— Po co się tak śpieszyć? — dopytywał się głos. — Bez trudu mogę rozmawiać z tobą przez całą drogę na dół. W mojej korze są dziury powietrzne – ja nie jestem taki, jak drzewa na Ziemi.

Kolin przypatrzył się korze na rozwidleniu, na którym siedział. Na szorstkiej powierzchni widać było spory zestaw dziur i wklęśnięć.

— Nigdy nie widziałem ziemskiego drzewa — przyznał. — Jesteśmy z Haurtoz.

— Gdzie to jest? Zresztą, dajmy spokój – jakaś mała planetka. W ogóle się nimi nie przejmuję, odkąd przybyłem tutaj i odkryłem, że mogę zostać czym tylko chcę.

— Co rozumiesz przez, czym tylko chcę? — spytał Kolin sprawdzając siłę zamocowania pionowego pnącza.

— **D**okładnie to, co powiedziałem — mówił dalej głos, rozbrzmiewając bliżej ucha Kolina, kiedy jego policzek przejechał po chropowatej korze

pnia drzewa. — I, jeśli mógłbym prosić, bardziej uprzejmie byłoby zwracać się do mnie „panie Ashlew”, biorąc pod uwagę mój wiek.

— Pański wiek? Ile ma pan…

— Nie potrafię już tak naprawdę doliczyć się lat ziemskich. Straciłem rachubę. Zawsze uważałem, że bycie drzewem to miłe, spokojne życie. A kiedy przypomniałem sobie jak długo one żyją, to przypieczętowało sprawę. Synu, ta planeta nie jest zupełnie taka, na jaką wygląda.

— Nie jest, panie Ashlew? — spytał Kolin, okręcając się wokół siebie, żeby dojrzeć, co też mogą skrywać wyższe konary.

— Nie. Większość wszystkiego tutaj jest napędzana przez Życie – to jest przez coś, co jako pierwsze urosło tutaj na tyle duże, aby móc trochę pomyśleć i rozesłać wszędzie swoje korzenie, aż zdobyło kontrolę. Tam na dole, są tego obrzeża.

— Inne drzewa? Ta dżungla?

— To jest coś więcej niż dżungla, synu. Kiedy tu wylądowałem, razem z innymi z *Arcturan Spark*, planeta wyglądała dla mnie na całkiem pustą, dokładnie tak jak powinna… Uważaj trochę, chłopcze! Gdybym na czas nie wykręcił tej gałęzi, właśnie teraz walnąłbyś w moje korzenie!

— Dz-dzięki! — chrząknął Kolin, trzymając się kurczowo.

— Pnącze Doggone! — skomentował powiew szeptu. — On nie był jednym z mojej grupy. Wylądował tu wiele lat później, na statku z jakiejś gwiazdy położonej dalej w stronę środka galaktyki. Powinieneś widzieć, jak on wyglądał, zanim Życie nie skontaktował się z jego umysłem i nie przygotował pola mentalnego, aby pomóc mu zmienić formę. Jako pnącze wygląda dwa razy lepiej!

— Jest bardzo poręczny — uprzejmie zgodził się Kolin. Namacał nogą kolejny punkt oparcia.

— No cóż… prawdę mówiąc, nie potrafię się do niego specjalnie przebić, nawet z pomocą pola mentalnego Życia. Wydaje mi się, że rozpoczął swe życie z bardzo odmiennym sposobem myślenia. Wykiwał mnie. Ja pomyślałem o życiu jako drzewo, a potem on się pojawia, żeby to wykorzystać!

Kolin zaparł się bezpiecznie, aby trochę rozciągnąć zmęczone mięśnie.

— Może lepiej zostać tu chwilę? — wymruczał. — Nie wiem, gdzie jestem.

— Jesteś jakieś pięćdziesiąt stóp nad ziemią — poinformował go wzdychający głos. — Pozwól, że ci opowiem, jak Życie pomaga zmienić formę. Nie musisz być drzewem.

— Nie?

— Acha! Paru chłopców, którzy wylądowali ze mną chciało móc się poruszać i oglądać równe rzeczy. Wielu zmieniło się w zwierzęta albo ptaki. Jeden nawet pozostał człowiekiem – a przynajmniej od zewnętrz. Większość z nich musiała zmieniać ciała, kiedy się zużyły, czego ja nie muszę robić, a niektórzy popełnili tę paskudną pomyłkę, że próbowali stać się czymś, co widzieli na jakiejś innej planecie.

— Ja bym tego nie zrobił, panie Ashlew.

— Jest jedna sprawa. Życie nie lubi podejmować ryzyka z tym całym poruszaniem się i oglądaniem. On generalnie wierzy w spokój i ciszę.

Mógłbyś nie dostać się na statek w jakiejś formie, która opowiedziałby innym co się stało.

— Proszę posłuchać! — wyrzucił z siebie Kolin. — Aż tak bardzo nie byłem zadowolony, będąc tym czym byłem, żeby powrót na statek był dla mnie ważny!

— Nie lubisz swojej ojczystej planety, jak tam ona się nazywała?

— Haurtoz. To paskudne miejsce. Państwo Planetarne! Przez trzydzieści godzin na dobę musisz myśleć, a nawet wyglądać w standardowy sposób, śpiąc i czuwając. Nawet spać człowiek się boi, bo może ci się przyśnić zdrada, a oni jakoś się o tym dowiedzą.

— Ojej! Słyszałem o takich miejscach. Trudno tam musi być, tak po prostu żyć.

Nagle Kolin stwierdził, że opowiada drzewu o życiu na Haurtoz oraz o oficjalnie ogłaszanych zagrożeniach dla planowanej ekspansji Państwa Planetarnego. Rozwodził się nad desperacją braku miejsca do ukrycia w przypadku kłopotów z władzami. System wielu planet tego rodzaju, byłby udręką dla wyobraźni.

Jakimś sposobem, zdziwienie tym, że rozmawia z drzewem, zupełnie z niego opadło. Kolin mógł wyrzucić z siebie opinie, które ostrożnie skrywał w duszy przez całe lata.

Im dłużej opowiadał, wyzywał i skarżył się, tym większą czuł ulgę.

— Nie ma chyba nikogo bardziej gotowego dla tej planety — zdecydowało drzewo o nazwisku Ashlew, — niż ty, synu! Poczekaj tutaj trochę, a ja prześlę Życiu sygnał przez korzenie!

Kolin poczuł, że drzewo nie zwraca na niego bezpośredniej uwagi. Szmery i szelesty wokół niego stały się naturalne, powodowane były przez zwykłe powiewy wiatru. Zauważył, że trzęsą mu się ręce.

— Nie wiem, co mnie napadło, żeby mówić to wszystko temu drzewu — wymruczał pod nosem. — Jeśli Yrtok oprzytomniała i słyszała to wszystko, to równie dobrze mogę od razu zgłosić się do re-personalizacji.

Kiedy tak dumał nad kiepskim wyborem uruchomienia poszukiwań poprzez ukrycie się w lesie, albo powrotem na statek i sfałszowaniem raportu, odezwało się drzewo:

— Chyba udało mi się wszystko załatwić, synu. Życie też myślał o dowiedzeniu się czegoś na temat nowych planet. Jeśli wymyślisz jakąś bezpieczną formę, do której się wciśniesz, to możemy uważać interes za zawarty. W jakiej postaci chciałbyś tutaj zostać?

— Nie wiem — odparł niezdecydowanie Kolin. — Kara za dezercję…

— Jejku! A kto cię tu znajdzie? Będziesz mógł być ptakiem, drzewem, a nawet chmurą.

Milczący, ale ciągle pełen wątpliwości Kolin, pozwolił sobie na próbę dopasowania tego marzenia do siebie.

Zastanawiał się, jaka forma mogłaby najłatwiej umknąć uwagi grup poszukiwawczych, a przy tym byłaby na tyle odporna, by żyć przez długi czas bez konieczności odnowy. Wtedy jednak, do jego rozmyślań wślizgnął

się pewien nowy element: po tym wybuchu, który wyraził jego piekącą nienawiść do Haurtoz, zwykła nadzieja ucieczki była czymś niesatysfakcjonującym.

„Lepiej trzymać się swego!” — pomyślał. — „Lepszy wróbel w ręku, niż dzięcioł na sęku!”

— Żałuję, ale nie mogę tak po prostu uciec. Chciałbym wyrównać rachunki ze naszym sposobem życia… z tym całym diabelskim układem. Tak łatwo mogliby zawrzeć pokój z ziemskimi koloniami. Wie pan, dlaczego tego nie robią?

— Dlaczego — wychrypiał Ashlew.

— Boją się, że bez groźby wojny i nieustannego wypatrywania ziemskich flot, które nigdy nie przylecą, ludzie mieliby czas pomyśleć o tym jak żyją, i kto rządzi w Państwie Planetarnym. Wtedy źródełko forsy mogłoby wyschnąć – i pewnie szybko by wyschło!

Drzewo przez chwilę milczało. Kolin poczuł jak gałęzie poruszają się medytacyjnie. Potem Ashlew zaproponował:

— Mógłbym powiedzieć Życiu o tym jak ty to widzisz — wyszumiał. — Kiedy już będziesz z nami, zawsze będziesz mógł nawiązać połączenia myślowe, nieważne na jaką odległość. Może udałoby ci się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, jak to się mawiało na Ziemi…

Główny steward Slichow przechadzał się w tą i z powrotem koło odwróconej do góry dnem skrzyni na racje, służącej mu za prowizoryczne biurko. Groźnie przyglądał się po kolei swym wartownikom i zmęczonym stewardom, którzy pozostali w kwaterze głównej. Ci ostatni powłóczyli nogami, układając w stosy i rozdzielając niewielkie pakiety z racjami alarmowymi.

Kolejka marynarzy zwalnianych na chwilę z prac remontowych, zmieniała się jeśli chodzi o jej skład osobowy, ale nieustannie miała tę samą długość. Slichow wymamrotał coś brzydko pod nosem, o lekceważeniu rozkazów, rozglądając się z gniewem po skalistych wzgórzach, otaczających miejsce lądowania.

Był tak bardzo zajęty planowaniem powitania, jakim poczęstuje spóźniających się członków grup zwiadowczych, że nie zauważył powolnej chmurki dryfującej nad grzbietem wzgórza.

Była rzadka, niemal jak mgiełka. Po bliższym przyjrzeniu można było zauważyć, że składa się z miriadów malutkich zarodników. Przypominały te wyrzucane przez jeden z krzewów, które mijała grupa Kolina. Wzdłuż krawędzi, mgiełka nierównymi strzępami przechodziła w czyste powietrze, ale widać było, że jej elementy tworzą spójne ciało. Dryfowały razem, zbliżając się do ludzi, jakby w inteligentny sposób wykorzystywały powiewy wiatru.

Jeden ze słaniających się na nogach pomagierów Slichowa, wykradając kilka sekund odpoczynku pod pretekstem zbierania lekkich plastikowych opakowań, wszedł we mgiełkę.

Zamarł bez ruchu.

Po kilku uderzeniach serca upuścił śmieci i spojrzał na statek i stojących wokół niego ludzi, tak jakby widział to po raz pierwszy w życiu. Poruszyło go dopiero wezwanie od jego pana.

— Już idę, szefie! — zawołał, ale wracając w umiarkowanym tempie wymruczał: — Nazywam się Frazer. Jestem drugim asystentem stewarda. Od tej chwili myślę jako Jednostka Jeden.

W całej chmurze zarodników, umysł znany przedtem jako Peter Kolin, pogratulował sobie wyboru formy.

„Jest bliższa oryginalnego kształtu Życia, niż Ashlew" — pomyślał.

Przerwał, by zastanowić się nad formą drzewa o nazwisku Ashlew, na wpół nieśmiertelnego, ale przywiązanego do jednego miejsca, niezdolnego do unoszenia się na wietrze, albo nawet w kosmosie, pod ciśnieniem światła. Ponadto nie potrafił on oddelegować żadnej części siebie do centrum kontrolnego innej żywej istoty, tak jak właśnie w tej chwili robił to on, wysyłając drugi zarodnik, aby przejąć ciało głównego stewarda Slichowa.

„Nie wystarczy ludzi" — pomyślał Kolin. — Część mnie będzie musiała przedryfować przez śluzę powietrzną. W kosmosie będę mógł rozprzestrzenić się przez system odnowy powietrza, na grupę dowódczą.

Naprawy *Peace State* i powrót na Haurtoz dla niektórych członków załogi trwały całe tygodnie, ale dla jego jednostek jak krótkie chwile w nieskończoności. W końcu statek przeciął powietrze nad Headquarters City i wylądował.

Jednostka zwana kapitanem Theodorem Kesselem zawahała się przed zejściem po rampie. Przyjrzał się lądowisku, miastu i czekającemu zespołowi oficerów inspekcyjnych.

— Nie mogło być lepiej, nieprawdaż? — zachichotał do swego towarzysza, zwanego oficerem Służby Bezpieczeństwa Tarthem.

— Nie mogło być, panie kapitanie. Wszystko gotowe do wyzwolenia Haurtoz.

— Zmiana formy Państwa Planetarnego — zadumał się kapitan, uśmiechając się leniwie, kiedy chwycił barierkę. — A potem… uformowanie Umysłu Planetarnego!

KONIEC